

Czy zatęsknimy za Putinem?



„Zatęsknisz jeszcze do mych ust” – śpiewała Maryla Rodowicz w słynnej piosence „Ballada wagonowa”. Wymowni Francuzi powiadają, że lepiej tęsknić, niż nie tęsknić wcale, więc nie jest wykluczone, że jeszcze zatęsknimy za zimnym ruskim czekistą, zbrodniarzem wojennym Putinem. Wydaje się to absolutnie nieprawdopodobne, ale okoliczności się zmieniają, a wtedy nawet rzeczy wcześniej absolutnie niemożliwe, mogą nagle stać się możliwe. Zanim jednak rozwinę ten temat, chciałbym podzielić się dobrą, a nawet znakomitą wiadomością. Oto Pan Bóg, który dotychczas sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się zdecydować, po stronie których batalionów stanąć, a pan Przemysław Wiszniewski z „Gazety Wyborczej” nawet myślał, że po prostu śpi – wreszcie zdecydował się przejść na jasną stronę Mocy. Tak przynajmniej wynika z wypowiedzi doradcy prezydenta Zełeńskiego, pana Podolaka. Komentując zagadkowe eksplozje w Rosji przy granicy z Ukrainą wyraził przypuszczenie, że przyczyny zniszczeń rosyjskiej infrastruktury wojskowej mogą być rezultatem „boskiej interwencji” wobec „grzeszników, którzy w wielkanocną niedzielę masowo zabijali mieszkańców Mariupola”. W takiej jednak sytuacji musielibyśmy przyjąć, że w Królestwie Niebieskim obowiązuje kalendarz juliański, a nie gregoriański, bo według kalendarza gregoriańskiego, niedziela wielkanocna była tydzień wcześniej. Jaki kalendarz zatem obowiązuje – tajemnica to wielka – tym bardziej, że według pana Wiszniewskiego, dopóki trwa wojna na Ukrainie, Zmartwychwstanie powinno być, a właściwie jest odwołane. Tymczasem odbyło się ono jak gdyby nigdy nic, co pokazuje, że

jeszcze przed dwoma tygodniami w Królestwie Niebieskim wystąpił brak koordynacji. Na szczęście to już minęło, teraz już Pan Bóg stanął po właściwej stronie, a to oznacza, że Rosja wojnę już przegrała. Tak w każdym razie uważa pan Antoni Blinken, sekretarz stanu USA, który razem z sekretarzem obrony, panem Lloydem Atkinsem, odbył pielgrzymkę do Kijowa, gdzie został przyjęty przez prezydenta Zełeńskiego. Natomiast sekretarz obrony uważa trochę inaczej – że mianowicie w tej wojnie chodzi o obezwładnienie Rosji. Z tego wynika, że zwycięstwo w takiej postaci może być jeszcze odległe, o ile w ogóle nastąpi, bo – jak wynika z ustaleń ukraińskiego Sztabu Generalnego – Rosja utraciła na Ukrainie około 3 procent swoich zasobów militarnych, podczas gdy według Ministerstwa Obrony Rosji, Ukraina – znacznie więcej, w niektórych działach aż 100 procent, bo na przykład na 38 okrętów wojennych Ukraina straciła 38. Wypływa z tego jeden wniosek, że mianowicie bez stałych i coraz większych dostaw uzbrojenia i amunicji z zewnątrz, Ukraina nie mogłaby tej wojny kontynuować. Dlatego też 26 kwietnia amerykański sekretarz obrony wezwał do amerykańskiej bazy lotniczej w Ramstein w Niemczech ministrów obrony z 40 zależnych od USA państw i powyznaczał im zadania w zakresie pomocy wojskowej dla Ukrainy.

I tu dochodzimy do kwestii postawionej na początku, to znaczy – do tęsknoty za Putinem. Chodzi o to, że Putin, wprawdzie toczy na Ukrainie wojnę z całym Sojuszem Atlantyckim, ale jest to „dziwna wojna”. Na przykład jak dotąd Rosjanie nie atakowali ani nie niszczyli ukraińskich linii kolejowych, ani węzłów kolejowych. Podobnie przez terytorium Ukrainy przebiega ropociąg i gazociąg, przez który tłoczy się do Europy Zachodniej 107 mln metrów sześciennych gazu na dobę. Osobliwość sytuacji polega na tym, że z tego gazu i z tej ropy korzysta też Ukraina, więc nie wysadza ropo – i gazociągu w powietrze, a Rosjanie też nie tylko go nie bombardują, ale nawet nie zakręcają Ukrainie gazowego kurka tak, jak to zrobili Polsce i Bułgarii. Wreszcie dostawy zachodniego uzbrojenia i amunicji docierają na Ukrainę bez przeszkód,

umożliwiając Ukrainie kontynuowanie wojny i zadawanie wojsku rosyjskiemu strat w sprzęcie i w ludziach.

Z tego powodu Putina coraz mocniej krytykują rosyjscy wojskowi uważając, że taki sposób prowadzenia wojny nie tylko do niczego nie prowadzi, ale w dodatku jest trudny do logicznego uzasadnienia. Wychodzą z założenia, że nieprzyjaciela trzeba jak najszybciej obezwładnić wszelkimi dostępnymi środkami i na wszelkich polach, tymczasem wojna ograniczona to właśnie albo uniemożliwia, albo w dużym stopniu utrudnia. Ciekawe, że podobnie było w Wietnamie, gdzie za sprawą sekretarza obrony Roberta McNamary, armia amerykańska, a zwłaszcza lotnictwo, prowadziło ograniczone działania, nie atakując wielu dostępnych celów tylko dlatego, że były one wyłączone w specjalnej liście. Taki sposób prowadzenia wojny powodował spore straty tym bardziej, że Amerykanie nie wojowali tam tylko z Wietnamem, ale – z całym Układem Warszawskim i Chinami na dodatek. McNamara był bowiem wierny swojej doktrynie „elastycznego reagowania”, zakładającej – jak się okazało – naiwnie – że nieprzyjaciel w rewanżu też nie będzie atakował niektórych celów. Oczywiście strona wietnamska ani myślała o takiej kurtuazji, bo w tym przypadku nie chodziło o broń jądrową, której użycia w Wietnamie domagał się senator z Arizony Barry Goldwater. Tymczasem doktryna elastycznego reagowania odnosiła się przede wszystkim do konfrontacji między mocarstwami atomowymi, przewidując, że będą one walczyły na przedpolach, taktownie oszczędzając nawzajem własne terytoria.

Pierwszy pomruk tego niezadowolenia wojskowych dał się słyszeć jeszcze przed świętami, kiedy to jeden z kremlowskich dygnitarzy oświadczył, że Rosja będzie traktowała transporty broni z zagranicy na Ukrainę, jako „legalne cele wojskowe”. Z czysto militarnego punktu widzenia jest to logiczne, ale może doprowadzić do gwałtownej eskalacji działań wojennych i rozlania się wojny poza granice Ukrainy, przede wszystkim na terytorium Polski, która jest głównym punktem tranzytowym tych

transportów. Przy takim obrocie sprawy możemy zacząć tęsknić za powściągliwym Putinem, który, wbrew własnym „siłowikom”, prowadził na Ukrainie „dziwną wojnę”. Czy w swoim postępowaniu wzorował się na francuskim mężu stanu Jerzym Clemenceau, który uważał, że wojna jest sprawą zbyt poważną, by ją powierzać wojskowym, czy też jego powściągliwość wynikała z innego powodu – to nieważne, bo ważniejsze jest pytanie, czy „siłowiki” przekonają go do swoich racji, czy on ich – do swoich.

[Stanisław Michalkiewicz](#)

Czeka nas nowa unia



Tym razem było inaczej, niż zwykle. Bo zwykle podczas świąt, wszystko jedno – Bożego Narodzenia, czy wielkanocnych, nasz nieszczęśliwy kraj pogrąża się w nirwanie. Tym razem tak nie było, bo zimny ruski czekista, zbrodniarz wojenny Putin, co prawda dopiero w drugi dzień świąt, rozpoczął ofensywę na wschodzie Ukrainy. Walki toczą się na prawie 500-kilometrowym froncie, ale niezależne media głównego nurtu, powtarzając informacje wytwarzane przez stronę ukraińską, nie podają żadnych szczegółów, co skłania do podejrzeń, że inicjatywa leży po stronie Rosjan. Dodatkową poszlaką są gorzkie słowa, jakie strona ukraińska i prezydent Zełeński osobiście kieruje pod adresem niemieckiego kanclerza, że – odwrotnie niż Polska – nie chce rezygnować z rosyjskiego gazu i ropy, a w dodatku

opieszale traktuje obowiązek dostarczania na Ukrainę broni. Tymczasem kilka dni przed świętami pewien kremłowski dygnitarz oświadczył, że Rosja wszystkie konwoje z bronią będzie traktowała jako „legalne cele wojskowe”. Jeśli tak by było rzeczywiście, to wojna mogłaby zakończyć się wcześniej, niż przewiduje amerykański sekretarz stanu Antoni Blinken, według którego zakończy się ona w Sylwestra 2022 roku. Ostatnim dniem 2022 roku jest bowiem Sylwester, który rzeczywiście może być dla Putina datą ważną, bo właśnie wtedy, w roku 1999, prezydent Jelcyn oświadczył w telewizji: „ja uchażu w odstawku”, a nowym prezydentem Rosji został właśnie Putin, który na tamtym etapie nie tylko nie był jeszcze zbrodniarzem wojennym, ale nawet miał duszę, którą swoim przenikliwym wzrokiem dostrzegł w nim prezydent George Bush. Na razie w komunikatach dominują zapewnienia strony ukraińskiej, że będzie walczyła do końca.

Tymczasem tuż przed świętami wydarzył się incydent, który dla rządu „dobrej zmiany” może nosić nawet charakter aktu sprawiedliwości dziejowej. Oto drogą ekspresową jechał samochód prowadzony przez pana Zdziennickiego, małżonka pani Małgorzaty Gersdorf, o której stanowisko I prezesa Sądu Najwyższego toczyły się takie boje na wstępnym etapie walki o praworządność w naszym bantustanie. Otóż w pewnym momencie, jadący z lewej strony samochodu wiozącego małżonków motocyklista uderzył w barierkę, ginąc na miejscu, podczas gdy jego motocykl siłą rozpędu ślizgał się po jezdni i nawet wyprzedził samochód małżonków. Widać to było na nagraniu, które zrobił jadący z tyłu samochód ciężarowy. Tymczasem małżonkowie się nie zatrzymali, tylko pojechali, jakby nigdy nic – ale policja na podstawie nagrania zidentyfikowała ich samochód. Od tej chwili przed panią Małgorzatą Gersdorf zaczęły piętrzyć się kłopoty oraz – jak to nazwała – „szykany” – co skrupulatnie odnotowywały niezależne media rządowe, dzięki czemu nawet Donald Tusk, który jest tam regularnie pokazywany jako drugi po Putinie wróg publiczny, zszedł na plan dalszy. Jednak rozpoczęta na Ukrainie ofensywa zepchnęła

na dalszy plan również i tę sprawę, być może również dlatego, że z nirwany wyrwała ona również zwolenników i politycznych przyjaciół pani Małgorzaty Gersdorf, którzy rozpoczęli pracować nad korzystniejszą dla małżonków wersją wydarzenia. Podobnie bez większego rezonansu przeszedł rozłam w Judenracie „Gazety Wyborczej”, który został ujawniony za sprawą Konstantego Geberta, co to podstępnie chciał na łamach „Gazety” zamieścić oskarżenie, jakoby ukraiński pułk „Azow” składał się z „nazistów”. Judenrat przekonywał pana Geberta, żeby użyć określenia „skrajna prawica”, ale taka propozycja oburzyła pana Geberta do tego stopnia, że pożegnał się z „Gazetą Wyborczą” na dobre. Ten incydent jednak niósł ze sobą potężny dysonans poznawczy, bo z jednej strony taki rozłam w Judenracie był dla niezależnych mediów rządowych prawdziwym darem Niebios, ale z drugiej spostrzeżenie pana Geberta o „nazistowskim” charakterze pułku „Azow” dokładnie pokrywało się z oskarżeniami zbrodniarza wojennego Putina, który jako pozór moralnego uzasadnienia inwazji na Ukrainę podaje potrzebę przeprowadzenia „denazyfikacji” tego kraju.

Tymczasem 13 kwietnia odbyła się w Mikołajkach debata na temat unii Polski z Ukrainą. Debata ta była pokłosiem Europejskiego Kongresu Samorządów, organizowanego przez Ośrodek Studiów Wschodnich. Uczestniczyli tam panowie: Władysław Kosiniak-Kamysz, pobożny poseł Jarosław Gowin, Wielce Czcigodny poseł Maciej Gdula, z porządnej, bezpieczniackich rodziny i Czesław Bielecki. Moderatorem debaty był Jan Maria Rokita, z tołstojowską brodą niemal do pasa. Dyskutanci zgodzili się, że nie ma rady, tylko trzeba przeprowadzić unię Polski z Ukrainą, to znaczy – przyłączyć Polskę do Ukrainy. Jak powiedział prezydent Zełeński, taka Ukrai... – to znaczy, pardon – oczywiście taka unia liczyłaby 80 milionów mieszkańców, czyli tyle samo, co Niemcy. Zresztą – jak zauważył Czesław Bielecki – nieważne, jak by się taki twór polityczny nazywał, bo najważniejsze jest sprawne przeprowadzenie procesu integracji. Myślę, że około 3 milionów uchodźców z Ukrainy, nie licząc co najmniej półtora miliona Ukraińców, którzy do Polski przybyli

wcześniej, do sprawnej integracji z pewnością się przyczyni, a kto nie będzie chciał się integrować, albo nawet będzie się integrował, tylko opieszale, to zostanie odpowiednio podkreślony. W ten sposób, jeśli Ukraina utraciłaby swoje wschodnie, uprzemysłowione okręgi – o czym oczywiście nie może być mowy – to dzięki unii z Polską zyskałaby odpowiednią rekompensatę terytorialną, a Polska – jak to już wcześniej, w niepojętym przypływie szczerości zauważył rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pan Łukasz Jasina – stałaby się „sługą narodu ukraińskiego” i to nie incydentalnie, pod pretekstem wojny, ale może już na zawsze. Trzeba tylko zapłacić i odsiedzieć, to znaczy – jak zauważył Władysław Kosiniak-Kamysz – tylko napisać przyszłą historię naszych dwóch narodów, bo „*emocje zostały zastąpione propolskim etosem*”. Tak samo mówi pani Weronika Marczuk – że mianowicie Ukraińcy się w Polsce „zakochali”. Skoro tak, to nie ma co czekać, tylko starą historię unieważnić i zabrać się do napisania nowej. Oczywiście nie wylewajmy dziecka z kąpielą i nie unieważniamy całej dotychczasowej historii. Na przykład – powstanie w Getcie Warszawskim. Akurat 19 kwietnia przypadła kolejna rocznica, a z tej racji wszyscy patrioci, obok wstążeczki w barwach ukraińskich z jednej strony, pozakładali sobie z drugiej strony wycięty z żółtego papieru wizerunek żonkila. W tej sytuacji na polską flagę miejsca już nie starczyło, ale w takim zestawie potrzebna ona jak psu piąta noga. Wstążeczka po jednej stronie, a żonkil po drugiej w przyszłej unii wystarczą, bo po co rozdrapywać stare rany?

[Stanisław Michalkiewicz](#)

Jawa i mrzonki. Porzućcie marzenia



Wojna na Ukrainie trwa już ponad miesiąc, a ani rozstrzygnięcia, ani końca nie widać. Trudno się temu dziwić w sytuacji, gdy na Ukrainie Rosja prowadzi wojnę z NATO. Wprawdzie NATO nie jest bezpośrednio zaangażowane w operacje wojskowe, ale, pod pretekstem samoobrony, dostarcza Ukrainie broń, amunicję i inne materiały wojenne za darmo, więc nie można tego nazwać zwyczajnym handlem.

Tylko do 27 lutego USA, Wielka Brytania, Kanada, Francja, Niemcy, Polska, Belgia, Czechy, Holandia, Grecja, Litwa, Łotwa, Estonia, Portugalia, Rumunia, Słowacja, dostarczyły tam różnego rodzaju broń ogromnej wartości. Tylko USA do 27 lutego przekazały Ukrainie broń za prawie 3 miliardy dolarów, a przecież to był dopiero początek. Polska, przez którą przechodzi większość tych dostaw, zachowuje się wzorowo, bo – jak zauważył rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych pan Łukasz Jasina – „jesteśmy tutaj sługami narodu ukraińskiego, jego próśb”. Ta deklaracja była niewątpliwie szczerą, toteż nic dziwnego, że władze ukraińskie zachowują się wobec opieszałych państw NATO mocarstwowo, zapewne w przekonaniu, że tak będzie również po wojnie, a może nawet zawsze? Być może właśnie dlatego została tam przyjęta jeszcze w lipcu ubiegłego roku ustawa o „rdzennej ludności Ukrainy”, która co prawda – jak się wydaje – dotyczy przede wszystkim Krymu, ale można też będzie interpretować ją szerzej – jak zajdzie taka potrzeba.

Na razie jednak wojna trwa, więc mamy trzy możliwości.

Pierwsza – że Ukraina tę wojnę wygra. Za wygranie uważam wyparcie Rosji ze wszystkich części państwa ukraińskiego, łącznie z Krymem. W takiej sytuacji Ukraina stałaby się niewątpliwie rodzajem regionalnego mocarstwa tym bardziej, że niezależnie od wyniku wojny, napłyną tam kolejne miliardy nie tylko na armię, ale również – na odbudowę ze zniszczeń. Czy w tych kosztach partycypowałaby również Rosja? Prawdopodobnie, gdyby jej klęska była spektakularna, czego wykluczyć przecież nie można, zwłaszcza opierając się na komunikatach ukraińskiego Sztabu Generalnego czy wywiadu.

Manifest Antykomunistyczny! Już dostępny!

Druga możliwość jest taka, że Ukraina tej wojny nie wygra, ale też nie przegra. Wtedy Rosja zajmie wschodnią, uprzemysłowioną część Ukrainy, odetnie ją od Morza Czarnego, pozostawiając w gestii ukraińskich władz słabiej uprzemysłowioną część zachodnią – dlatego w takim przypadku nie można mówić o wojnie przegranej przez Ukrainę. Z polskiego punktu widzenia ta możliwość wydaje się najbardziej korzystna, bo nadal mielibyśmy na wschodzie niepodległą Ukrainę, w dodatku – trwale skonfliktowaną z Rosją – ale nie mocarstwową. Wreszcie możliwość trzecia – że Ukraina tę wojnę przegra, to znaczy – Rosja zmusi ją do kapitulacji, to znaczy – zainstaluje tam „bratni” rząd i zawrze z nim układ o przyjaźni – jak ze zbuntowanymi republikami: doniecką i ługańską. Najbardziej prawdopodobna wydaje się dziś możliwość druga, bo – jak pokazuje sytuacja na froncie – Rosja uzyskanie lądowego korytarza do Krymu ma już w zasięgu ręki, podobnie jak odcięcie Ukrainy od wybrzeża czarnomorskiego. W tej sytuacji to Rosja jest zainteresowana w jak najszybszym zakończeniu działań wojennych i zawarciu z Ukrainą pokoju, a przynajmniej rozejmu, w którym Ukraina tę zmianę swoich granic przyjąłaby do wiadomości, nawet bez formalnego uznania. Musimy bowiem pamiętać, że i Rosja nie może zbyt długo przeciągać struny, bo przecież na Ukrainie wojuje z NATO – co prawda do ostatniego Ukraińca, niemniej jednak. Doświadczenia II wojny światowej, w której starła się „rasa”, „masa” i „kasa” pokazują, że

rozsądek nakazuje, by z „kasą” się liczyć.

Porzućcie marzenia

Wspominam o tym wszystkim dlatego, że wojna na Ukrainie rozpałała wyobraźnię wielu polskich patriotów do tego stopnia, że własne marzenia zaczynają brać za rzeczywistość. Czy naprawdę, czy tylko w nadziei, że w ten sposób przypodobają się Naczelnikowi Państwa, który w nagrodę hojnie ich wyfutruje za pośrednictwem spółek Skarbu Państwa – o to mniejsza – chociaż wykluczyć tego nie można, choćby z powodu, że ma on skłonności do – jak to nazwał Aleksander Smolar na etapie, gdy panu red. Michnikowi wywietrzała już z głowy entuzjazm do prezydenta Lecha Kaczyńskiego – „postjagiellońskich mrzonek”. Te „mrzonki” polegają na przekonywaniu, że Rosję, która jest „niepoprawna, trzeba „zniszczyć”, a wtedy, w wytworzonej w ten sposób politycznej próżni, powstanie organizm przypominający Rzeczpospolitą Obojga Narodów, oczywiście z Polską, jako jej politycznym kierownikiem. Jest to wizja wprawdzie piękna, ale chyba zbyt piękna, by była prawdziwa. Rzecz w tym, że od czasów mocarstwowej Rzeczypospolitej, we Wschodniej Europie trochę się zmieniło. W XIX wieku zaczęły kształtować się tam nacjonalizmy: ukraiński, litewski i nieco później – białoruski – które powstawały w opozycji do polskości – i tak już zostało. Czy tak zostało z powodu podjudzania tych nacjonalizmów przez Niemcy i Rosję w celu szachowania Polski, czy też złożyły się na to również antypolskie antagonizmy na tle socjalnym, o to mniejsza, bo ważniejsze jest to, że ani Ukraina, ani Białoruś, ani nawet Litwa nie chcą nawet słyszeć o poddaniu się polskiemu kierownictwu politycznemu.

Jeśli już widzą jakąś wspólnotę z Polską, to raczej na zasadzie sformułowanej właśnie przez rzecznika MSZ w Warszawie pana Jasinę, który – chociaż został za to ofuknięty – może mieć więcej oleju w głowie niż Naczelnik Państwa, a w każdym razie – więcej poczucia rzeczywistości. Warto w tym miejscu przypomnieć, że „postjagiellońskim mrzonkom” prezydenta Lecha Kaczyńskiego położył kres prezydent USA Barack Obama,

dokonując 17 września 2009 roku słynnego „resetu” w stosunkach amerykańsko-rosyjskich, którego politycznym owocem było proklamowane 20 listopada 2010 w Lizbonie „strategiczne partnerstwo NATO-Rosja”, będące najważniejszym postanowieniem „porządku lizbońskiego”, którego kamieniem węgielnym był podział Europy w strefę niemiecką i strefę rosyjską, prawie dokładnie wzdłuż linii Ribbentrop-Mołotow. I chociaż pod koniec 2013 roku prezydent Obama wysadził ten porządek w powietrze, z czego natychmiast skorzystała Rosja, by oskubać Ukrainę, to z „postjagiellońskich mrzonek” naszych Umiłowanych Przywódców pozostały jedynie kabotyńskie, lizusowskie okrzyki, jakie wydawali na kijowskim „majdanie” pod adresem Ukraińców. Teraz było podobnie: „koncepcję” Naczelnika Państwa, by pod pretekstem uzbrojonej po zęby „misji pokojowej” NATO na Ukrainie wciągnąć Sojusz Atlantycki w „niszczenie Rosji”, zlikwidował prezydent Biden po wysłuchaniu opinii państw poważnych, a prezydent Zełeński, najwyraźniej przez kogoś oświecony, też się od „koncepcji” zdystansował się udając, że jej „nie rozumie”, chociaż zrozumiał w lot, a prawdziwe powody wyjaśnił już w następnym zdaniu: „Na szczęście albo niestety, to jest nasz kraj, a ja jestem prezydentem, więc to my będziemy decydowali, czy będą tu inne siły”.

On najwidoczniej też uważa, podobnie jak pan rzecznik MSZ Jasina, że Polska, jeśli już, to co najwyżej może być „sługą narodu ukraińskiego” oczywiście pojmowanego według kryteriów przewidzianych w ustawie „o rdzennej ludności Ukrainy”. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że znaczna część narodu ukraińskiego już przeniosła się do Polski, która właśnie służy mu, jak tylko może, poczytując to sobie za cnotę. Czy ten kubeł zimnej wody na Naczelnika podziałał – nie można wykluczyć, bo zaraz po fiasku „koncepcji” proklamował powrót do rozdziobowywania katastrofy smoleńskiej. Przy jej pomocy „zniszczyć Rosji” się jednak nie da, ale oczywiście zaprzyjaźnione media będą nadal opływały w dostatki. Nasz wybór

W tej sytuacji Polska ma dwa wyjścia: albo pozostać w Unii Europejskiej, to znaczy – pożegnać się już nawet nie z „postjagiellońskimi mrzonkami”, ale nawet z mrzonkami o niepodległości i zgodzić się na status niemieckiego landu w IV Rzeszy, albo podjąć próbę przyłączenia się do Stanów Zjednoczonych, jako kolejny stan tego państwa. To co prawda oznaczałoby również konieczność rezygnacji z mrzonek o niepodległości, ale – jak w swoim czasie mówił mi Guy Sorman – porównywać można tylko możliwości istniejące z istniejącymi. Zatem tak naprawdę stoimy przed alternatywą – czy zostać niemieckim landem, czy stanem USA. Jaka jest nasza sytuacja jako niemieckiego landu – to już mniej więcej wiemy na podstawie doświadczeń dotychczasowych – a ona może tylko się pogarszać w miarę, jak w Unii Europejskiej będzie narastał socjalizm, a presja na promocję sodomczyków i ekologizmu będzie narastała do poziomu paranoi.

Stany Zjednoczone od pewnego czasu pod tym względem lepiej nie wyglądają, ale tam pozycja prezydenta Bidena i Partii Komunis..., to znaczy pardon – oczywiście Partii Demokratycznej, nie jest taka znowu silna, by to się nie mogło zmienić, a ponadto – w odróżnieniu od Unii Europejskiej, panuje tam większy pluralizm prawny. Na przykład, mimo że w USA panuje zakaz poligamii, senat stanu Utah zdecydował, że w tym stanie nie jest ona przestępstwem, tylko wykroczeniem, za które grozi symboliczna grzywna, a jest to zaledwie wstęp do całkowitej legalizacji wielożeństwa. Zatem, chociaż administracja prezydenta Józia Bidena forsuje wszystkie możliwe zboczenia, być może udałoby się uchronić Polskę jako jeden ze stanów USA przed tą plagą?

Wprawdzie Polska leży daleko od Ameryki Północnej, ale Hawaje też leżą ponad 3500 kilometrów od zachodniego wybrzeża, czyli w odległości mniej więcej takiej jak Portugalia od Polski, więc niekoniecznie musiałoby to być przeszkodą tym bardziej, że Izrael, który wprawdzie formalnie nie jest stanem USA, przecież wywiera na politykę tego państwa znacznie większy

wpływ niż np. Arizona, a leży od Ameryki jeszcze dalej. Odległość, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nie powinna być problemem, zatem zajmijmy się potencjalnymi korzyściami takiej zmiany.

Co prawda musielibyśmy pożegnać się z mrzonkami o niepodległości, ale w Unii Europejskiej nie mamy żadnej innej alternatywy, co zostało postanowione w traktacie z Maastricht, który wszedł w życie w 1993 roku. W tej sytuacji opowieści o „Europie Ojczyzn”, to kolejna mrzonka, jeszcze większa od tych „postjagiellońskich”. Szkoda każdego słowa. Gdyby tedy Polska została kolejnym stanem USA, to nie musielibyśmy z trwogą i niepewnością myśleć o art. 5 traktatu waszyngtońskiego, bo on nie miałby tu nic do rzeczy, zaś ewentualny atak Rosji na Polskę byłby już uderzeniem na Stany Zjednoczone. Jak pamiętamy, nigdy nic takiego się nie zdarzyło, bo zgodnie z doktryną elastycznego reagowania i Rosja i USA konfrontują się ze sobą bezpośrednio, ale na przedpolach, np. na Ukrainie. W tej sytuacji Ameryka przestałaby promować w Polsce narwańców, na czym nasza scena polityczna mogłaby tylko skorzystać. Nie musielibyśmy też kombinować, za co uzbroić dodatkowe 200 tys. żołnierzy, o których chcemy powiększyć naszą niezwykłą armię, bo zatroszczyłyby się o to Stany Zjednoczone, nawet bez specjalnych próśb z naszej strony. Zresztą skoro już teraz pan prezydent Duda mówi o kilkunastu, a w porywie serca gorejącego – nawet o kilkudziesięciu tysiącach żołnierzy amerykańskich w Polsce, to gdyby było ich 300 tysięcy, wielkiej różnicy by nie było tym bardziej, że i tak i tak podlegaliby oni rozkazom z Waszyngtonu, natomiast rozkazom Warszawy mogłaby podlegać obrona terytorialna – jak w USA gwardia narodowa.

Po drugie jako stan USA musielibyśmy wystąpić z Unii Europejskiej, za co prawdopodobnie nie spotkałyby nas żadne konsekwencje, przynajmniej dopóty, dopóki wojska amerykańskie stacjonują w Niemczech. Nie byłoby łamania sobie głowy, czy przystępować, czy nie przystępować do unii walutowej, bo walutą naszą stałby się dolar. Nie muszę dodawać, że

moglibyśmy w jednej chwili plunąć na wszystkie „wyroki” TSUE i nie przejmować się karami, jakie na nas nakłada, bo Ameryka zaraz pokazałaby mu ruski miesiąc. Niewiarygodne, ale dzięki przystąpieniu do USA, moglibyśmy przestać się obawiać nawet o roszczenia żydowskie. Żydzi w stosunku do USA żadnych roszczeń majątkowych nie wysuwają, kontentując się subwencją rządu amerykańskiego, którą – jak piszą uczeni politologowie w książce „Lobby izraelskie w USA” – zaraz pożyczają temu rządowi na wysoki procent. Wprawdzie Stany Zjednoczone przyjęły ustawę nr 447, ale przecież ani myślą zmieniać własnego prawa w taki sposób, w jaki sugerowały tam Polsce, więc również pod tym względem byłoby bezpiecznie.

Jedyną trudność, jaką widzę, to kwestie językowe, ale to rzecz mniejszej wagi, bo – po pierwsze – coraz więcej młodych ludzi używa cudzoziemskich słów, jak „hejt”, albo inne takie, po drugie – w Stanach Zjednoczonych też nie wszyscy mówią po angielsku, nawet przeciwnie – coraz więcej mieszkańców USA mówi językiem hiszpańskim i na przykład nawet na lotnisku w Chicago już kilka lat temu zauważyłem napisy w obydwu językach, chociaż przedtem były tylko po angielsku. No to dlaczego w naszym stanie język polski nie miałby być dominujący – oczywiście obok urzędowego angielskiego? Jak widzimy, chyba będziemy musieli zrewidować nasze dotychczasowe spojrzenie na to, co realne i to, co nierealne, bo ewentualny akces do USA jest chyba bardziej prawdopodobny, a przede wszystkim – bardziej realistyczny – niż „postjagiellońskie mrzonki” starzejącego się Naczelnika Państwa.

Stanisław Michalkiewicz

Goje i geje



Ludzkość, jak wiadomo, dzieli się na dwie kategorie: Żydów i „gojów”. Kryterium tego podziału jest proste, jak budowa cepa; „gojami” są wszyscy, którzy nie są Żydami. Żydzi bowiem, jak wiele innych ludów, które przechowały aż do dzisiejszego dnia anachroniczne wyobrażenia o sobie – na przykład Kanakowie, a „*Kanaka*” to znaczy po prostu człowiek – tylko siebie uważają za ludzi, podczas gdy wszystkich pozostałych – za istoty tylko człekopodobne. Tak w każdym razie pisał w broszurze „*Chrzecijanin w Talmudzie żydowskim*” ksiądz Bonawentura Pranajtis, który naukowo specjalizował się w hebraistyce i był uważany za jednego z najlepszych znawców Talmudu. Ponieważ nieznamość Talmudu niepodobna mu było zarzucić, był tedy oskarżany o „*tendencyjną*” jego interpretację. Ale we wspomnianej broszurze, oprócz „*interpretacji*” są też cytaty, więc jeśli ktoś odrzuca „*interpretacje*” księdza Pranajtisa, to na podstawie tych cytatów może wyrobić sobie własny pogląd. Ot na przykład coś takiego: „*Stworzył ich (Bóg) w kształcie ludzi na cześć Izraela, nie są bowiem stworzeni w innym celu, jak dla służenia (Żydom) dniem i nocą.*” Ciekawe, czy wybitny przywódca socjalistyczny Adolf Hitler mówiąc o „*nadludziach*” i „*podludziach*” nie inspirował się przypadkiem właśnie Talmudem? Kiedyś bowiem był on znacznie bardziej rozpowszechniony, niż teraz. Stanisław Cat-Mackiewicz wspomina, że kiedy był redaktorem wileńskiego „*Słowa*”, ze zdziwieniem dowiedział się, że oprócz drukarni tej gazety, posiadającej bodajże tylko dwa linotypy, jest w Wilnie drukarnia, mająca ich ponad 60. Należała ona do „*Wdowy i braci Romm*” i drukowała właśnie Talmudy, rozsyłane potem na cały świat.

Wspomniałem tu o Adolfie Hitlerze, który – chociaż Żydów nienawidził – paradoksalnie przyczynił się do umocnienia ich pozycji międzynarodowej. Wykorzystując współczucie świata dla Żydów po masakrze, jaka spotkała ich z rąk Niemców podczas II wojny światowej, zaczęli oni formułować wobec „gojów” coraz bardziej kategoryczne żądania, które – dzięki wpływowi, jaki uzyskali w Stanach Zjednoczonych – przybrały postać ustawy o zwalczaniu antysemityzmu w Europie. Zdefiniowane zostały tam iście orwellowskie „myślozbrodnie”, które albo już są, albo wkrótce będą karane sądownie. Jedną z takich „myślozbrodni” jest *„formułowanie (...) stereotypowych opinii (...) o kontrolowaniu przez Żydów mediów, gospodarki, rządu lub innych społecznych instytucji”*. Każdy, kto był, a przynajmniej – kto słyszał o stosunkach panujących w USA, to wie, że takie „opinie”, to najprawdziwsza prawda, że Żydzi w znacznym stopniu kontrolują tamtejsze media, przemysł rozrywkowy i gospodarkę, przede wszystkim poprzez kontrolowanie sektora finansowego. Co do kontrolowania rządów, to nie musimy wcale sięgać do przykładów amerykańskich, bo przecież nie tak w końcu dawno, rząd Izraela oficjalnie występował pod adresem Polski o odwołanie z rządu ówczesnego wicepremiera i ministra edukacji Romana Gierycha. Wprawdzie wydarzenia potoczyły się trochę inaczej, ale samo takie żądanie jest dowodem, iż Żydzi przynajmniej chcieliby mieć wpływ na kontrolowanie rządów państw „gojowskich”. Ale jeszcze lepszym dowodem takich ambicji jest fragment całkiem świeżego, bo pochodzącego z dni ostatnich, wspólnego oświadczenia organizacji żydowskich *„poparcia roboczej definicji antysemityzmu międzynarodowego sojuszu na rzecz pamięci o holokauście”*: Po wyliczeniu wszystkich „myślozbrodni” sygnatariusze deklaracji oświadczają: *„Będziemy wykorzystywać definicję IHRA, między innymi w szkoleniach i edukacji, jako narzędzie zaangażowania i edukacji decydentów, organów ścigania, wychowawców i liderów społeczności nieżydowskich. Będziemy zachęcać do stosowania definicji IHRA, jako wskazówki dla nauczycieli, sędziów, prokuratorów i funkcjonariuszy organów ścigania w rozpoznaniu działań antysemickich lub ustaleniu, czy domniemany czyn był*

motywowany antysemityzmem." Mamy tu wyłożony cały program tresury „gojów”. Żeby było zabawniej, to we wspomnianym „oświadczeniu” czytamy m.in. o „*micie o międzynarodowym spisku żydowskim*”. Jak widzimy, to nie żaden „mit”, tylko rzeczywista rzeczywistość. Toteż Wielce Czcigodna Wanda Nowicka, której syn pochwalał katyński mord na polskich oficerach, bo dzięki temu łatwiej było Sowietom przeprowadzić w Polsce rewolucję komunistyczną, nawołuje do „*potępienia*” przez Sejm kaliskiego marszu, którego kulminacyjnym momentem było groteskowe spalenie „*Statutu Kaliskiego*” – dokumentu, który nie obowiązuje co najmniej od 300 lat. Za tym „*potępieniem*” mogą pójść represje wobec każdego, kto podpadnie pod definicję antysemityzmu z IHRA, która najwyraźniej stawia znak równości między antysemityzmem i spostrzegawczością.

Może to rodzić rozmaite dysonanse poznawcze. Na przykład, gdy biją Murzynów, to bardzo źle i w swoim czasie to właśnie zarzucano Amerykanom, by wykazać wyższość ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym. Gdy goje biją Żydów, to jeszcze gorzej; już nic gorszego być nie może. Jak jednak potraktować sytuację, gdy Żydów biją Murzyni? Tak właśnie było kiedyś w Nowym Jorku, gdzie Murzyni bili Żydów z inspiracji Ludwika Farrakhana, co to oskarża Żydów że wymyślili socjalizm, żeby zniszczyć Murzynów i grozi oskarżeniem ich za udział w handlu niewolnikami, co – mówiąc nawiasem – nie jest pozbawione podstaw i tak się stało całkiem niedawno w Londynie. Murzyni bowiem żadnymi definicjami IHRA się nie przejmują, podobnie jak innymi myślozbrodniami i na przykład w rozmowach między sobą nazywają się wzajemnie „*czarnuchami*”, podczas gdy biały człowiek za coś takiego wędruje za kraty. Ale każda akcja rodzi reakcję i pewnie dlatego przewodniczący Światowego Kongresu Żydów bije na alarm, że co trzeci Niemiec poniżej 25 lat ma „*antysemickie*” poglądy. Najwyraźniej Niemcy, w odróżnieniu od safandulskich Polaków, bardziej zdecydowanie reagują na tresurę, więc sytuacja pewnie ma charakter rozwojowy.

Na tle tego wszystkiego lepiej rozumiemy, dlaczego polscy „wychowawcy” i „liderzy” Kościoła katolickiego tak gorliwie uprawiają judaszizm, podczas gdy Niemiec – być może ze względów o których wspomina przewodniczący Światowego Kongresu Żydów, podlizują się „gejom”, czyli sodomczykom płci obojga. To podlizywanie się sodomczykom przybiera również postać nowej, uproszczonej teologii, według której Pan Bóg, który stworzył wszystko, a więc – również sodomczyków – a przy tym widział, że wszystko, co stworzył, było „bardzo dobre”, nie ma teraz wyjścia, tylko musi „kochać” wszystkich jak leci i na wszystko patrzeć przez palce. Prekursorem tej nowej teologii był poeta Henryk Heine, z pierwszorzędnymi korzeniami. Kiedy na łożu śmierci proponowano mu pojednanie się z Bogiem, odparł po francusku: „*Dieu me pardonnera, c'est son metier*”, co się wykłada, że Bóg mi wybaczy, to Jego zawód.

Stanisław Michalkiewicz

Rewolucja „macic”



Wreszcie komunistyczna rewolucja objawiła się również w naszym bantustanie i to w postaci podobnej do tej, w jakiej objawiła się u Naszego Najważniejszego Sojusznika.

Podobieństwa objawiają się w postaci operacji przygotowanej pod względem strategii taktyki, w postaci sprawnej organizacji, operatywnej i skoordynowanej propagandy, a także

zaplecza przygotowanego wśród środowisk opiniotwórczych.

Oczywiście, oprócz tych podobieństw są też i różnice; o ile u Naszego Najważniejszego Sojusznika rola proletariatu zastępczego została powierzona Murzynom, to w naszym bantustanie – podobnie jak na Białorusi – „kobietom”, czyli feministkom.

Oprócz tego różnice występują w celach; o ile celem rewolucji komunistycznej w Ameryce jest utrwalenie i zintytuczjonalizowanie władzy żydokomuny nad amerykańskimi „gojami”, to w Polsce na plan pierwszy wysuwają się dwa cele. Zarówno Niemcom, jak i Żydom chodzi o zdestabilizowanie sytuacji w Polsce i pogrążenie jej w chaosie, ale w przypadku Niemiec ten chaos ma służyć zmianie obecnego rządu, będącego ekspozyturą Stronnictwa Amerykańsko-Żydowskiego na rząd złożony z folksdojczów, który wycofałby Polskę z projektu Trójmorza.

Jak wielokrotnie wskazywałem, projekt Trójmorza, w przypadku dojścia do skutku, godziłby w dwa ważne interesy niemieckie.

Po pierwsze, podważałby niemiecką hegemonię w Europie, a po drugie – blokowałby budowę IV Rzeszy, w którą Niemcy tyle już zainwestowały. Najprostszym sposobem zablokowania tego projektu jest wycofanie z niego Polski, bez udziału której nie ma on żadnego sensu.

Trzeba zatem doprowadzić do zmiany ekipy, a ponieważ okazało się, że ani „walka o demokrację”, ani „walka o praworządność” nie są w stanie do tego doprowadzić, to podjęta została próba rzucenia na pierwszą linię frontu mięsa armatniego w postaci „kobiet”.

Organizatorom udało się skupić ich uwagę na „macicach”, toteż jestem pewien, że nie mają najmniejszego pojęcia, w czym biorą udział i myślą, że z tymi „macicami” to wszystko naprawdę. Na niemiecką rękę wskazuje między innymi coraz bardziej agresywna publicystyka niemieckich gazet dla Polaków w rodzaju

„Newsweka”, skierowana na odcięcie narodu polskiego nawet od tej namiastki szlachty, jaką jest duchowieństwo katolickie.



Inna rzecz, że dostarczyło ono niemało pretekstów, najpierw pobłażliwie traktując łajdactwa agenturalne, a teraz – obyczajowe. Ale nawet gdyby tak nie było, to na taki zamiar wskazuje choćby to, że Kościół stał się pierwszym i do tej pory właściwie jedynym celem ataku „kobiet”. Jak wiadomo, naród odcięty nawet od takiej namiastki „szlachty”, będzie znacznie łatwiejszy do zoperowania, a przecież to właśnie nas czeka od strony żydowskiej, która rozłakomiła się na „roszczenia”.

Wskazuje na ten trop również zachowanie żydowskiej gazety dla Polaków pod redakcją Adama Michnika, która otwarcie realizuje leninowskie wskazania odnośnie organizatorskiej funkcji prasy i pod pretekstem „informacji” publikuje instrukcje dla demonstrantów i łobuzerii. Ważną poszlaką wskazującą na zatajoną żydowską rękę jest również deklaracja Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, finansowanej przez starego żydowskiego grandziarza finansowego Jerzego Sorosa. Po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego stwierdzającego niezgodność aborcji eugenicznej z konstytucją, wezwała ona sędziów i lekarzy, by tego wyroku w ogóle nie brali pod uwagę.

Bo detonatorem tego wybuchu był właśnie ten wyrok. Czy jego

ogłoszenie akurat w momencie, gdy w Zjednoczonej Prawicy narasta kolejny kryzys, gdy rząd wpada w panikę na widok skutków swoich zarządzeń podjętych pod pretekstem epidemii i gdy rolnicy blokują drogi w proteście przeciwko szaleństwu, jakim jest uchwalenie ustawy o ochronie zwierząt, demolującej znaczne segmenty rolnictwa, będącego jedyną chyba gałęzią gospodarki zdolną do konkutowania na rynkach międzynarodowych – tego oczywiście nie wiem, bo Naczelnik Państwa mi się nie zwierza, ale wykluczyć tego nie można z powodów o których niżej.

Teraz chciałbym skupić się na samym proteście. Przykro to powiedzieć, ale nie wystawia on najlepszego świadectwa spostrzegawczości większości kobiet. Wyrok bowiem stwierdzał to, co wynika z konstytucji, w obronie której te same środowiska jeszcze rok temu gotowe były się pokroić na kawałki. Skłania mnie to do podejrzeń, że nie o konstytucję tu chodzi, a nawet nie o „macice”, tylko po prostu o zmianę rządu – o której zresztą co bardziej szczere aktywistki coraz częściej przebąkują.

Charakterystyczną cechą obecnej akcji ulicznej jest nie tylko jej masowy charakter – co pokazuje, że organizatorzy musieli się napracować, by wszystko sprawiało wrażenie spontaniczności – ale również niespotykana dotąd w polskiej kulturze i obyczajowości wulgarność. Protesty organizowane są bowiem pod hasłem „WYPIERDALAĆ”, a co gorliwsze aktywistki, w rodzaju pani prof. Ingi Iwasiów, wykładającej na Uniwersytecie Szczecińskim „nauki humanistyczne”, dodatkowo nawołują, żeby też „JEBAĆ”.



Można odnieść wrażenie, że tego rodzaju język znajduje życzliwy rezonans nie tylko wśród wielu kobiet i dziewcząt, ale również – wśród młodych mężczyzn i chłopców – co stanowi potwierdzenie poglądu który od lat głoszę, że nie ma już jednolitego narodu polskiego, że historyczny naród polski od 1944 roku został zmuszony do dzielenia terytorium państwowego z polskojęzyczną wspólnotą rozbójniczą, która – jak się okazuje – mimo propagandy aborcji dochowała się liczного potomstwa.

Charakterystyczne jest również to, że akurat, gdy w związku z epidemią całe państwo zostało zakwalifikowane do „strefy czerwonej”, w której zabronione są zgromadzenia z udziałem powyżej 5 osób, gdzie młodzieży do lat 16 nie wolno wychodzić na ulice bez towarzystwa osoby dorosłej – na ulicach przewalają się tłumy aktywistów płci obojga – przeważnie młodocianych, którzy zresztą zachowują się szczególnie agresywnie, wdzierając się podczas nabożeństw do kościołów i proponując księżom, by pokazali im „macicę” – a policja w zasadzie zachowuje się biernie – chociaż w innej sytuacji, w przypadku braku „maseczki”, za delikwentem potrafi ruszyć w pościg aż pięć radiowozów.

W rezultacie kierujący Rotami Niepodległości Robert Bąkiewicz ogłosił utworzenie Straży Narodowej na bazie Straży Marszu Niepodległości, która chciałaby bronić łobuzerii dostępu do

kościółów. Chciałaby – bo stosunek Episkopatu do tej inicjatywy nie jest wcale jednoznaczny, nie mówiąc już, że na pewno nie entuzjastyczny. Widać, że z tej strony żadnego, nawet moralnego wsparcia nie będzie, więc nie ma co się na nikogo oglądać, tylko brać sprawy w swoje ręce.

Czas po temu najwyższy, bo rozwydrzone „kobiety” wykrzykują, że „to jest wojna”, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że strony wojujące się nie przekrzykują, tylko zabijają i to w dodatku bez żadnej staroświeckiej rewerencji. Zatem przy bezradności rządu, w którym pojawiają się tendencje ugodowe i przy wynikającej stąd bierności struktur siłowych, najgorsze może myć dopiero przed nami.

Zawsze uważałem Naczelnika Państwa za wirtuoza intrygi, który co prawda prawie zawsze potyka się na końcu o własne nogi, ale same intrygi mota finezyjnie. Tak właśnie jest i w tym przypadku, kiedy udało mu się wypchnąć na pierwszą linię konfrontacji z wściekłymi „kobietami” Kościół katolicki, który, nawiasem mówiąc, zawsze był uważany przez żydokomunę za głównego, a właściwie – za jedyne przeciwnika.

Dodatkowego komizmu tej sytuacji dodaje okoliczność, że atakujące kościoły „kobiety”, najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, że wpisują się w scenariusz nakreślony między innymi przez Naczelnika Państwa, tylko myślą, że robią mu na złość.

Wreszcie nie jest wykluczone, że Naczelnik Państwa celowo sprowokował durnice, żeby w ten sposób przeprowadzić operację zarządzania przez konflikt. Bezradność rządu wobec łobuzerii abdykacja państwa, które nie reaguje na paraliżowanie całych miast skłania do podejrzeń, że tak właśnie ma być, że chodzi o to, by rozzuchwalone bezkarnością dziwy zrobiły wreszcie coś okropnego, co – jeśli nawet nie odwróci od nich sympatii tej części opinii publicznej, która daje się uwodzić sloganami o „prawach kobiet” – to wprawi ją w konsternację, która może być sygnałem do reakcji stanowczej.

Jest to przypuszczenie wobec Naczelnika Państwa uprzejme, bo może też być tak, że już na nic nie czeka, tylko przygotowuje swój spektakularny upadek – żeby każdy pamiętał, co się wtedy wydarzyło

Autor: [Stanisław Michalkiewicz](#)